

Felieton - Moja Polska

Jan Herman

Dziś po raz pierwszy moim głównym tematem notki będzie rząd RP autoryzowany przez PiS, choć formalnie koalicyjny.

Autoryzację rozumiem jako decydujący głos kierownictwa partii na skład osobowy „erki”: premier, marszałkowie w Parlamencie, wojewodowie, ministrowie, najbardziej znaczące spółki Skarbu Państwa, inne organy konstytucyjne. PiS – i jego kierownictwo, pozostające pod silnym wpływem lidera – ma niepodważalne prawo autoryzowania rządu. Uzyskał to prawo zarówno w głosowaniach znanych jako wybory parlamentarne, jak też w wyborach prezydenckich pół roku wcześniej. Komentarze deprecjonujące Prezydenta RP, Premiera, Ministrów jako „kamerdynerów” Naczelnika Jarosława – okazują się durnowate wobec wiernopoddańczej manifestacji dworcowej na chwałę byłego lidera innej partii, który tą inną partią zarządzał podobnie, czyli przez przyhołubianie lub „oddalanie” rozmaitych rządowych postaci.

W rządzie autoryzowanym przez PiS zadziwiają mnie trzy osoby, których imion i nazwisk nie wymienię, a to dlatego, że przed laty obiecałem sobie jednej z tych osób nie nazywać inaczej niż Delfin. Zaznaczam, że chodzi mi o osoby, a nie o funkcje „piastowane” przez te trzy osoby.

1

Pierwsza z tych osób – to człowiek mający konkretny i niepodważalny wkład w życie tzw. opozycji demokratycznej. Bezkompromisowy, odważny, nie krętaczący jako przeciwnik rządów Gierka czy Jaruzelskiego. Jeden z ważniejszych współtwórców samopomocowej drużyny znanej jako KOR. Taka przeszłość pozwoliła mu wejść w skład rządu Jana Olszewskiego. Sądzę, że badacze najnowszej historii Polski zbyt mało uwagi poświęcają pytaniu, ki diabeł podkusił tego dzielnego człowieka, by bez ceregieli przenieść nieuporządkowany zbiór tzw. „teczek” do przestrzeni medialno-publicznej (bo to, że wniósł je pod działanie procedur urzędowych – miał uprawnienie od ówczesnego Parlamentu i robił swoje).

Od tej afery lustracyjnej – podczas której wióry leciały skąd popadnie i gdzie popadnie – ten pryncypialny antykomunista zaczął być postrzegany jako człowiek, któremu czyny wymykają się spod przeczności. Ale nie zrobił kroku w tył, nawet się nie zatrzymał: odtąd był dyżurnym młotem na tych, których aktywność sprzed 1989 roku miała choćby słabą nutkę sekretności. Poważnym punktem w jego karierze były godziny tuż po Katastrofie. Był jednym z nielicznych, którzy pojęli, że pierwsze godziny od tego tragicznego zdarzenia zadecydują o Państwie. Kto nie pamięta, przypomnę: w Pałacu Prezydenckim pojawili się ludzie myszkujący w poszukiwaniu „czegoś”. Oni myszkowali, a nasz bohater nic nie mógł zrobić, tocząc się kolejowym szlakiem, wiedząc, że każdy kwadrans unieruchomienia w wagonie wyklucza go (i jego projekt odpluskwiania Polski od „sekretnych”) z gry o Państwo.

Jako, że formacja stawiająca na „Polskę Solidarną” i na IV RP przegrała rozgrywkę o Urząd Prezydencki – nasz bohater zajął się dywersją wobec „sekretnych”, podejmując różne działania, przede wszystkim biorąc na ząb wersję celowego doprowadzenia do Katastrofy, czyli zamachu. Jak mu to szło – to inna sprawa.

Kiedy PiS powrócił do autoryzacji rządu (w rozumieniu jak wyżej, na początku) – nasz bohater

przejął sektor wojskowo-zbrojeniowy, rozumiejąc swoją w nim misję jako „czerezwyczajną” przebudowę kadrową. Ale też pozostawił sobie rolę animatora wyjaśnień Katastrofy, ze wskazaniem na Zamach. Łączenie tych ról fatalnie wpływa na funkcjonowanie resortu, a także – to już nie moja sprawa – wygumkowuje z biografii naszego bohatera wspaniałą kartę z lat opozycji demokratycznej.

2

Druga z tych osób – to „wychowanek” stanu wojennego. Dość szybko przeszedł od zadymiarstwa do poważnie zorganizowanej opozycji, tyle że ta akurat opozycja nie była „demokratyczna”: w kręgu Federacji Młodzieży Walczącej, Ligi Republikańskiej, Przymierza Prawicy – konsekwentnie wdrażał się w bezkompromisowość zarówno wobec „komuny-postkomuny”, jak też wobec „ustaleń okrągłostołowych” (nawet jeśli uczestniczył w jednym z podzespołów). Działania polityczne uzupełniał „samonauczaniem”, co zresztą było i jest godnym naśladowania zwyczajem tego środowiska (nieprzejednanych antykomunistów). Punktem zaczepienia ideologicznego dla naszego bohatera stał się fenomen „żołnierza wyklętego”. Fenomen ten definiowany jest jako „antykomunistyczny, niepodległościowy, spontaniczny żywioł partyzancki, stawiający opór sowietyzacji Polski i podporządkowaniu jej ZSRR, toczący walkę ze służbami bezpieczeństwa ZSRR i podporządkowanymi im służbami w Polsce”. Definicja ta, całkiem przyzwoita i poręczna, nie obejmuje powojennych watażków i ich band, nastawionych na grabieże, mordy porachunkowe oraz ślepą dywersję, z ofiarami mundurowymi i cywilnymi.

Definiowanym jak powyżej „żołnierzom wyklętym” należy się rehabilitacja, a ich najbliższym – zadośćuczynienie. Byli bowiem ofiarami tępej stalinowskiej maszyny znakowanej ideologicznie. Tak się jednak stało, że najbardziej spektakularni „wyklęci” łączyli walkę z systemem-ustrojem i skrajnie nieobyczajny bandytyzm. Nie oni jedni: na przykład „państwo w państwie” to łączenie służby publicznej z przestępczymi geszeftami.

Nasz bohater wyciągnął – moim zdaniem słuszne – wnioski z fatalnej pomyłki z czasów, kiedy stworzył Centralne Biuro Antykorupcyjne i wywalczył dlań status „państwa w państwie”. Tak jak chwałę „żołnierzy wyklętych” wygumkowuje zbrodnicza działalność niektórych z nich – tak chwałę CBA wymazują zblazowani aktywiści w rodzaju „agenta Tomka”. Dziś jego robota wydaje się – mnie, laikowi – bardziej roztropna, a nasz bohater prowadzi „służbowe życie wycofane”, zdaje się dostarczać wątków wymiarowi sprawiedliwości, a nie preparować „winy i winnych”, jak wcześniej.

3

Trzeciej z tych osób – otwarcie i serdecznie nie znoszę. Uprzedzam o tym Czytelnika, by uważał na moje opinie poniżej. Uważam tego człowieka za niedojrzałego emocjonalnie, nijakiego moralnie oportunistę-koniunkturalistę. Ma jeszcze jedną wadę: jest nad-ambitny. Należy do tych, którzy zbyt widocznie przebiegają nogami w oczekiwaniu na (uwaga, eufemizm) naturalne procesy wymiany generacyjnej.

Człowiek, który w czasach studenckich zabawiał się „podglądaniem” koleżeństwa (mówię o skrytych nagraniach rozmów) – nie ma predyspozycji do kierowania wymiarem sprawiedliwości, gdzie przecież obowiązuje jawność i przejrzystość, a człowiek, który swój teatr widzi ogromniejszy niż przewiduje Konstytucja – nie może kierować korpusem funkcjonariuszy

pełniących wyjątkową rolę ustrojową. Ten zaś nasz bohater łączy w sobie obie przypadłości: szuka w ludziach zła, a w zarządzanej przestrzeni – szuka swojego osobistego splendoru. Z ewidentnego „państwa w państwie” – chce uczynić swoje latyfundium, biorąc w karby i kadry, i procedury. Nie chce tego „państwa w państwie” wyleczyć.

Kiedy wygłasza jakąś myśl, której – wyczuwa – nie podziela ogół słuchających, nasz bohater wyraźnie nie kontroluje swojego głosu, a głos ten rośnie w decybele i ubożeje od niedostatku harmonicznym składowym. Robi to wrażenie, jakby się z kimś spierał. Jego niewątpliwym wkładem do przestrzeni wymiaru sprawiedliwości jest fenomen „aresztu wydobywczego”, czyli wyrafinowanej tortury, zaś efektem ubocznym jest sterowanie wyobraźnią sędziów i prokuratorów poprzez „rozwiązania kadrowe”. W odróżnieniu od poprzedniego bohatera – ani się nie uczy, ani nie wyciąga wniosków. Oczywiście, we własnych oczach jest nieomylny i niezwykle kompetentny.

* * *

Umiem sobie wyobrazić rząd autoryzowany przez PiS, ale bez udziału tych trzech osób. Ich niedoskonałości, które w miarę taktownie starałem się przedstawić, nie są ani większe ani mniejsze, niż zachowania i dokonania wielu innych ministrów w różnych rządach po roku 1989. Ale ich wspólną cechą jest to, że są westal(k)ami Jarosława Kaczyńskiego strzegąc trzech jego świątyń. I w przedsięwzięciach tych świątyń załatwiają swoje geszefty, trochę za plecami znieczulonego Prezesa.

Pierwszy strzeże świątyni najnowszej, związanej z pamięcią o Bracie. Nie chcę tu krążyć w butach, po prostu rozumiem, po ludzku, choć sam nie doświadczyłem aż tak spektakularnych strat.

Drugi strzeże moralno-ideowo-politycznej integralności Prezesa, skleja ją w całość. Wyobraża sobie polską rzeczywistość jako pole zmagania dwóch sił niemoralnych, z których jedna ma Większą Rację.

Trzeci – paradoksalnie – strzeże „sprawiedliwości ludowej”, staje po stronie maluczkich w obronie przed zdeprawowanymi elitami. A właściwie stwarza taki pozór, łechcąc Prezesa poczucie Ładu.

Prezes głupi nie jest, rozumie, a może tylko wyczuwa, że to jest gra. Autor serialu „dozwolonej krytyki”, Robert Górski, kładzie nacisk na relacje Prezesa z człowiekiem nieistotnym, ale tych trzech starannie omija. To zresztą powoduje, że nie ufam Górskiemu, skądinąd dobremu analitykowi życia elit politycznych.

* * *

Pozostaje zatem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ci trzej – i nie oni jedyni – zaszczepili się do formacji, w której przez lata pełnią rolę pierwszorzędą, ale nie kierowniczą. Mają przecież swoje własne, rozpoznawalne „nazwiska”. Wiedzą z praktyki, a nie z książek, że polityka to sztuka tworzenia punktów węzłowych władzy i nomenklaturowego zaludniania tych punktów. A jednak trzymają się weterana, który tylko epizodycznie wystawiał siebie do czołowych, prominentnych ról państwowych, zaś jego życiorys dowodzi, że lepiej mu wychodzi zawiadowanie karierami drużynników, niż własną.

Wszystko wskazuje na to, że Jarosław ma zwykłą, ludzką smykałkę do przyciągania ludzi,

budujących swoją wybitność metodą „księżycową”, czyli poprzez światło odbite od „źródła właściwego”. Nie, to nie będzie pean na chwałę bożyszczca, bo Jarosław nie ma temperamentu gwiazdora, choć zapewne łasy jest na pochlebstwa. Jest za to Jarosław bezdyskusyjnym generatorem energii. Pośród działających na masową wyobraźnię pragnień i zadrzeń potrafi wyselekcjonować i dobrze nazwać te, które mają moc samo-napędzającą. I nie narzuca swoich poglądów innym. On swoimi poglądami rozsiewa ideologiczny feromon, nie celując nim w kogoś konkretnego, a jeśli przejmie kontrolę nad „dotkniętymi” – staje się wobec nich stanowczy i pański. Krytycy Jarosława starannie omijają fakt, że wokół niego, w rolach drugo- i trzecio-rzędnych, jest wielu ludzi wykształconych, inteligentnych, zorientowanych, samodzielnych. To ich wiernopoddańczość buduje wyobrażenie o PiS jako partii wodzowskiej. Łatwo to sprawdzić, przyglądając się choćby Ludwikowi Dornowi. Na niego akurat feromony ideo nie działają, jest to człowiek pragmatyczny, choć wielu talentów. Należy do naprawdę rzadkiego podgatunku PiS-owców, który świadomie, z wyrachowaniem akceptuje pomysłowość Jarosława w windowaniu „wiernych giermków” na stanowiska rządowe. Bywa, że miernot. Sam dał się skusić i wyraźnie odstawał od „typowych” PiS-owskich premierów, ministrów, wojewodów, prezesów. Ale kiedy u boku Jarosława stajesz się prominentem – trzeba najwięcej uwagi poświęcić mimikrze, trzeba własne zdanie ubierać w słowa Jarosława. Nie ustrzegł się naruszenia tej zasady ani L. Dorn, ani M. Jurek, choć przestrzegał jej jego rodzony Brat. Reprezentantem tego „podgatunku” (okropne słowo, ale piszę „z ręki”, nie szukam synonimów) jest też np. J. Sellin. To on, a nie Delfin jest bliżej ewentualnej schedy. Choć jest innej „miary energetycznej”.

Ktokolwiek zastąpi Jarosława w roli patrona środowisk parafialno-narodowych – powinien zadbać o to, by ustrzec się tercetu podobnego to tego, co opisałem. Tyle, że to już mnie mniej obchodzi.

Jan Herman

<http://publications.webnode.com/news/tercet-sub-magiczny/#.WPmPDp9R6b0.facebook>